

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Arkady Fiedler, Witold Hulanicki, Zygmunt S. Klingsland, Felcja Lilpop - Krancowa, Jan Lechoń, Jan Rostworowski, Tadeusz Strzelecki

Vol. 2, Nr. 10 (62)

Nowy Jork, 5 marca — New York, 21, N. Y., March 5th, 1944

Cena 15 ct.

WAŻNIEJSZE NIŻ CHURCHILL

Dwa wypadki doniosłości historycznej przyniosł nam tydzień ostatni: mowę Churchilla, który poparł pretensje Rosji do ziem polskich i deklarację naszego gabinetu odrzucającą linję Curzona jako granicę Polski i Rosji i protestującą przeciw stanowisku brytyjskiego premiera.

Napozór faktyczna waga tych oświadczeń jest różna, na niekorzyść naszego rządu, gdyż nasze ziemie są zajęte przez wroga i nie stoi za nami wolne, potężne, o niezmiernych bogactwach Imperjum.

Wielu też cudzoziemcom zdaje się, że oświadczenie Churchilla, który nie tylko jest premierem brytyjskim, ale także duchowym wodzem walczącej Anglii i już dziś historyczną postacią, że oświadczenie owo tak bezlitośnie jednoznaczne, tak żadnej nie zostawiające nam nadziei — jest nieodwołalnym historycznie faktem, jest swego rodzaju "Roma locuta", od której żadnej niema apelacji, i że nota ministra Romera do pana Edena jest czysto platonizującą manifestacją, nic nie mogącą poradzić przeciw sowieckim bagnetom i obojętności świata.

Ale większość Polaków, wszyscy niemal Polacy bez różnicy partji, za wyjątkiem nielicznych konfederatów z Nowej Targowicy i nielicznych na przystąpienie do niej kandydatów — oszołomieni, obrzuceni i niemal zawstydzeni za Anglię, po przeczytaniu mowy Churchilla — już po chwili tego oszołomienia czuli instynktem, że ta mowa niestychana niczego nie przesądza. I wszyscy czekaliśmy na to, co odpowie wodzowi wielkiego Imperjum — wygnączy rząd umęczonej Polski, rozumiejąc, że w sprawie Polski najważniejsze jest i będzie zawsze to, co czują, myślą i czego pragną sami Polacy.

I otóż po wstrząsie, jakiego każdy z nas doznać musiał, dowiedziawszy się że Churchill nie tylko nie broni nas przeciw najazdowi i niewoli, ale że ten najazd usprawiedliwia i za nim staje, po owym dniu, naprawdę jednym z najcięższych, jakieśmy przeżyli w czasie tej wojny — dzień który nam przyniósł odpowiedź polską — był dniem ulgi, pociechy i podniesienia ducha.

Tego dnia poczuliśmy, jak dawno już nie byliśmy zjednoczeni: zrozumiawszy, że skończył się okres niedomowień, że jesteśmy zdani tylko na własne siły i na słuszność naszej sprawy, odczuliśmy



Premier Mikołajczyk, szef Polskiego Rządu, który odrzucił żądania rosyjskie

przecież jakby przyptyw tych sił i odetchnęliśmy szeroko, gdyż jedynie złe, jedynie beznadziejne, co by nas mogło spotkać, byłaby to abdykacja polska i ugięcie się przed przemocą.

Sowiety zrobiły już co mogły, aby wmówić w nic nie wiedzącą opinię aljancką, że rząd polski na wygnaniu jest jakimś nieważnym tworem faszystowskiego nabożeństwa, że nie przedstawia on żadnej realnej siły, że niema łączności z krajem, w którym większość ludności z utęsknieniem oczekuje na sztandary Wandy Wasilewskiej i armaty Timoszenki.

Po tem co premier Churchill mówił, trudno się łudzić, że Anglicy będą przeszkadzać Sowiecom w zwalczaniu naszego rządu i trzeba zdać sobie sprawę, że rząd ten czekają losy wymagające już nie dyplomatycznych formuł ale żelaznej woli i bohaterstwa.

Spodziewamy się, że przeszedłszy Rubikon złudnych a tak cynicznie rozproszonych nadziei,

rząd nasz pójdzie bez wahań po tej właśnie drodze, jedynej, po której przystoi iść rządowi narodu walczącego tak nieugięte, i która jest nietylko drogą romantycznego idealizmu, ale jak to nieraz historia dowiodła, jedyną w takiej jak ta chwili drogą zbawczą, drogą jedynej polityki, którą możemy prowadzić.

Rząd polski jest prawowitym rządem polskim, tak samo prawowitym jak rząd Churchilla i rząd w Waszyngtonie; nikt z krytykujących go Polaków nigdy tej jego prawowitości nie podawał w wątpliwość; cały naród w kraju i na uchodźstwie, wszystkie partje polskie stoją za tym rządem, w chwili gdy wypełnia on wśród tak dramatycznych trudności najważniejsze swe zadanie: obronę całości i niepodległości Ojczyzny.

Ta obrona jest poza nie do obalenia prawną podstawą, podstawą moralną władzy polskiego rządu, jest znakiem jego istotnej władzy nad wojskiem polskim, jego istotnej łączności z krajem, jest jego prawem do przemawiania imieniem całego narodu polskiego, który jest ostateczną instancją we wszystkim, co się Polski tyczy.

Że głos tego narodu nie może się dobyć z więziennych lochów — nie znaczy to jeszcze, aby można było decydować o nim jak o Zulusach. Polska jest wraz z Anglią współtwórczynią kultury europejskiej, której klęska byłaby też końcem Anglii. Nie mając tych sił co Anglija, Polska wydana na łup podwójnego zaboru, opuszczona przez sojuszników, nie przestaje być mocarstwem w moralnym sensie tego słowa, mocarstwem, które w tej wojnie

zdobyło wspaniałe dziedziny w świecie ducha; to moralne znaczenie Polski poparte bohaterstwem i nieugiętą wolą całego narodu w końcu musi zwyciężyć i na faktach; cały naród polski wierzy w to i dlatego odrzuca poddanie się i jednoczy się do dalszego wysiłku.

Mowa Churchilla i stanowisko Anglii są oczywiście ciosem zadany naszym sprawie.

Nawet wtedy, gdy Polska ginęła, rozdzielana przez trzech potężnych najeźdźców, nie było ona tak opuszczona jak dziś, gdy ci, za których Polacy się bili, odstępują ich w najcięższej chwili i nietylko umywają ręce ale nawet przyklaskują zaborcom.

Ale w tej właśnie potworności jest coś, co nie pozwala chrześcijańskim i naprawdę ludzkim sumieniom uwierzyć, że ma ona być ostatecznym wyrokiem w naszej sprawie, jest coś, co mówi nam, że jest to tylko niebezpieczna i niemoralna gra polityczna, że nie jest możliwe, aby tak jawne wyzwanie, rzucone wszystkim pięknym hasłom, o które walczyliśmy, nie spotkało się z odporem, nie obudziło w obozie sprzymierzonych nowych, zdrowych sił i nie uchroniło wspólnej naszej sprawy od klęski, którą oznacza mowa Churchilla.

Naród polski, niemy i umęczony, ma w sobie przecież moc, która jeszcze się wypowie. Wojna nie jest jeszcze skończona. Najeżani i opuszczeni — będziemy walczyć do końca nietylko o naszą ziemię, ale i o lepszy świat dla wszystkich, o ten świat, w który już zmęczony Churchill nie wierzy, ale w który wierzą i za który giną: polski robotnik, polski chłop, polski żołnierz, polski uczonec, polskie kobiety i dzieci.

ALFRED LORD TENNYSON (1809-1892)

P O L A N D

How long, O God, shall man be ridden down,
And trampled under by the last and least
Of men? The heart of Poland hath not ceased
To quiver, tho' her sacred blood doth drown
The fields; and out of every smouldering town
Cries to Thee, lest brute power be increased,
Till that o'ergrown Barbarian in the East
Transgress his ample bound to some new crown: —
Cries to Thee, "Lord, how long shall these things be?
How long this icy-hearted Muscovite
Oppress the region?" Us, O Just and Good,
Forgive, who smiled when she was torn in three;
Us, who stand NOW, when we should aid the right —
A matter to be wept with tears of blood!

ARKADY FIEDLER

SMAROWNIK ŁOZA CHCE JEŚĆ

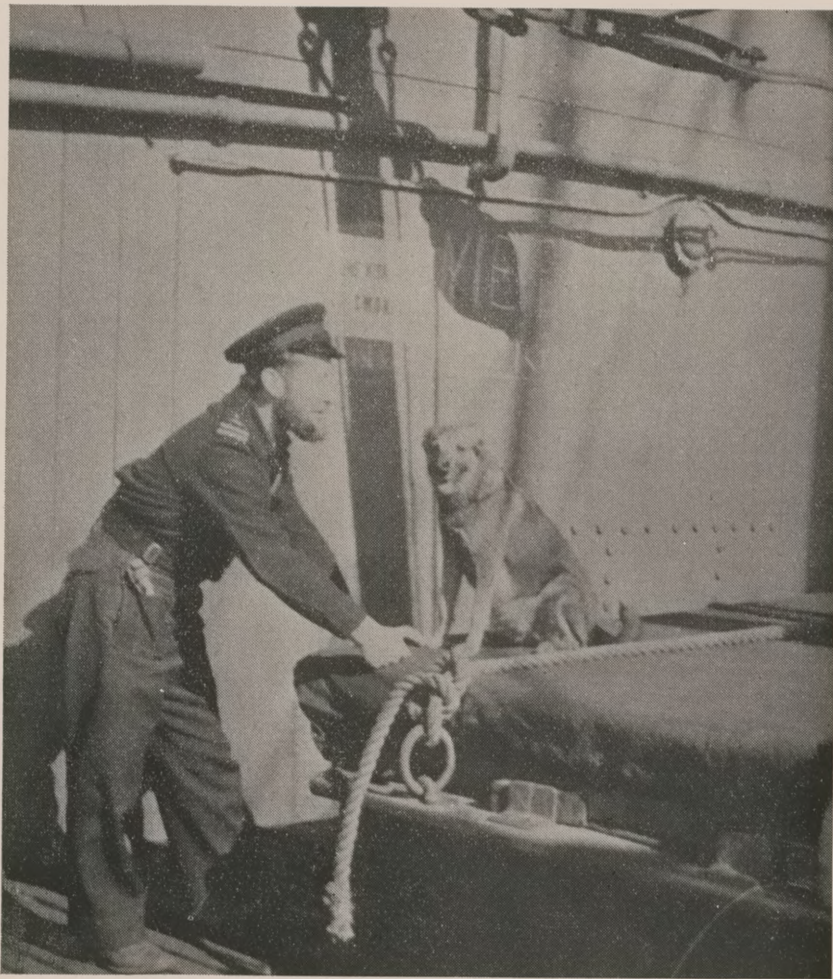
Rozmowa nasza miała hojny posmak egzotyki. Wiedliśmy ją w samym sercu Nowego Yorku, w ogrodzie Rockefeller Center, w gorący wieczór lipcowy. Mówił przeważnie kapitan, ja słuchałem. Mówił o Bałtyku. Mówił tak ciekawie i tak obrazowo, że w czeluście otaczających nas drapaczy chmur i w tłum najdziwniejszej międzynarodówki i nawet w nieznośne gorąco Nowego Yorku wlewały się chłodne fale, nie tylko fale sinego Bałtyku.

Kapitan wskrzeszał niedawną przeszłość i swoją niezwykłą epopeję. Było to wtedy, gdy Niemcy w wrześniu 1939 obsadzili już Gdynię, a on mimo to wraz z dwoma towarzyszami wyrwał się z kleszczy oprawców na małym żaglowcu sportowym i na przekór wścieklej pogoni i licznym patrolom wymknął się cało do Szwecji: wyraz jeden z tysiąca bodaj dowodów największej duchowej wartości, jaką Polacy wnieśli do tej wojny, wyraz owej niepokromionej, zapamiętałej, biologicznej żądzzy niedania się i nie poddania się.

A w niespełna rok później prawie to samo. Był wtedy już kapitanem M. S. "Radłowa". Po upadku Francji zatrzymały jego statek władze francuskie w Dakarze, by go oddać Niemcom. Znow zryw buntu i zuchwałe zrzucenie więzów. "Radłowo" którejs nocy podniósł kotwicę z dakarskiej redy i przez szczelne (tak zdawało się władzom portowym) sieci żelazne wyrwało się z niewoli na otwarte morza, by odtąd już bez przerwy służyć sprawie sojuszników.

Była to jedna z tych osobliwych rozmów, w których myśl staje się kształtem a najbliższe otoczenie zapada w bezosobową mgłę. Znikł mi z oczu Nowy Jork i Rockefeller Center, zacierają się nawet rysy opowiadającego kapitana, wyrósł natomiast przed nami nieugięty, żywotny statek o błyszczących konturach i śmiałym obliczu. Wciąż obecą cechuje niezmiernie bogactwo symboli. Symbolem również był ów statek. Wśród najbardziej ludzkich, codziennych spraw działy się na nim rzeczy, pełne wzniosłości.

Był więc na "Radłowie", wśród codziennych trywialności, kucharz Ignas, trochę stuknięty w tył, (jak mi ongiś mówił o tom Kaszub Elfenbein), bo dostał od kochanki w Polsce list, po którym zgłupiał. Był na statku ulubieniec jego, piesek Musztarda, który na lądzie chodzić nie umiał, umiał tylko na pokładzie. Był niecnota sta-



"...symbolem był również ów statek..."

ward, za plecami kapitana wykradający żywność na szkodę załogi. I bosman cholera, goniący załogę jak pies do pracy. I był kapitan, ów żeglarz z Gdyni a bohater z Dakaru, o którego załoga się klóciła, gdyż jedni widzieli w nim tylko tyrańca, inni — przyjaciela i dobroczyńcę.

Ludzki, zwykły rozgardziasz małych kłopotów i śmiešnostek, lecz tuż z tego gwaru i chaosu wyłaniał się, nieustępliwy jak skała, niepokonany duch statku. Była w nim siła uporu na miarę olbrzymów i nieustanna chęć trwania i była niespożyta, czerstwa wiara w przyszłość. Tradycja morska? Więcej, znacznie więcej: — tradycja całego narodu, który nie myślał się poddać, tu natchnęła życie pływającą stal. Morze było tu tylko cokołem, rejsy w służbie sojuszników tylko tłem, istotną rzeczą zaś była polityczna, wypadła ze zgrabiących tam

ruk w kraju, a tu przez statek podjęta, twardo trzymana, zuchwale pchnięta w szeroki świat na dowód niezniszczalności pewnych walorów, drogich Polakom. Na dowód ich ciągłości.

Naraz, w toku rozmowy z kapitanem, ogarnęła mnie paląca tęsknota do tego statku. Już dawno miałem w planie odbycie na nim rejsu, lecz nigdy tak bardzo nie pragnąłem być w jego pobliżu, na jego pokładzie i pod jego wpływem.

— Gdzie będzie "Radłowo" za jakie trzy miesiące? — spytałem kapitana.

Kapitan się uśmiechnął:

— Mars, Neptun i Eol mogliby chyba dokładniej odpowiedzieć. Ja tylko przypuszczam: u ujścia Amazonki.

— Zgoda, będę czekał na pana u ujścia Amazonki!...

II.

Nie doczekałem się. W dwa miesiące po tej rozmowie nastąpiła katastrofa. M. S. "Radłowo" zginął, storpedowany na Morzu Karaibskim, w dzień drogi od Trinidadu. Była to wtedy najpodlejsza dla żeglugi okolicy Atlantyku, gdzie liczne hordy niemieckich łodzi podwodnych dokładały wszelkiej zawziętości, by sparaliżować linię komunikacyjną między Stanami Zjednoczonymi a Afryką. Więc działy się wśród wysp antylskich nieopisane tragedje marynarskie, walka toczyła się niemal na noże, była bezlitosna a obrona trudna.

"Radłowo" szło samo, bez konwoju. Dzień był pogodny, słoneczny. — Było pięć minut do południa. Torpeda przyszła zniemacka, rozpruła prawą burzę w środkokręciu, wybuchła w maszynowni. Prawa szalupa rozpadła się na drzazgi, statek odrazu przechylił się w lewo. Trzech ludzi zabiło na miejscu, dwóch maszynistów i trzeciego oficera pokładowego. Reszta, około dwudziestu, ratowała się szybko do pozostałej szalupy. Był gwałt: statek tonął w oczach. Jako ostatni opuścił pokład kapitan. Niektórzy odnieśli rany. Kapitanowi ciekła krew z głowy. Kucharz leżał na dnie szalupy, pół przytomny. Naraz kucharz wznosił głowę i zacharczał mdlejącym głosem:

— Musztarda!...

Obok niego podjęto krzyk:

— Gdzie Musztarda?! Szukać Musztardy!...

Wszyscy marynarze z nagłą spazmatyczną porwycozością zaczęli szukać psa w gmatwaninie nóg. Nie było psa. Ktoś z dziobu łodzi zawył na alarm, groźnie, jakby chciał rzucić się na swych sąsiadów:

— Ratujcie Musztardę!...

Łódź nie odbiła jeszcze od burty statku. Palacz Brazylijanin, który stał na brzegu szalupy, powrócił na pokład Radłowa. Gdy w kilka chwil później ukazał się znów przy poręczy, dźwigał pod pachą psa. Rzucił go w dół ludziom na głowy i sam za nim zeskokczył do szalupy. Zeszła na nich ulga, podniecenie zelżało. Odbili od tonącego statku. Wiosłowali co sił.

Po kilku metrach krzyknął kapitan, by zatrzymali się i pomimo rany na głowie wyskokczył do wody. Przypomniał sobie, że należy ratować ze statku kasę okrętową. Był tegim pływakiem, lecz gdy dobijał do burty Radłowa, rozległy się ze szalupy ostre ostrzeżenia:

— Wracać! Wracać!...

Nie zdążył wejść na pokład. Statek zanurzał się coraz szybciej. Już dookoła jego kadłuba powstawały niebezpieczne wiry. Były silne i wciągały w głębinę a pływaka pokryły raz

i drugi wodą. Lecz nie dał się. Walka o życie zwielokrotniła jego siły. Wyrwał się z rejonu śmiertelnych prądów. Podali mu z szalupy bosak i wyciągnęli z wody.

Radłowo zatoneło, gdy oddalił się o przeszło sto metrów. Wtedy w pobliżu wynurzyła się na powierzchnię morza łódź podwodna. Wyszło na jej pokład kilku ludzi na pół nagich, ubranych tylko w szorty. Byli zarośnięci bujnymi brodami, mieli dziki wygląd i przypominali Germanów z Lasu Teutoburskiego. Dwóch z nich trzymało ręczne karabiny maszynowe, wycelowane w stronę rozbitków. Gdy zbliżyli się na odległość ludzkiego głosu, najstarszy z nich, zapewne ich dowódca, zawołał po angielsku do szalupy:

— Gdzie kapitan statku?

Jakikolwiek opór byłby niedorzecznością i mógł tylko ściągnąć zabójczą salwę na bezbronną załogę.

— Jestem! — odpowiedział kapitan bez namysłu.

— Czy może pan pływać?

— Mogę.

— To przypłynąć!...

Więc kapitan po raz drugi w ciągu dziesięciu minut skoczył do wody. Był to fatalny skok, wiódł do śmierci a przynajmniej do ponurej niewoli, od której kapitan dwa razy w czasie wojny się ustrzegł. Tym razem zapadł jego ostateczny los. I jak gdyby sobą wykupił życie swej załogi; Niemcy ognia nie otworzyli. Drapeżnik nasycił się tą jedną ofiarą. Poszedł z nią pod wodę.

Z pięknego polskiego motorowca pozostała tylko jedna mizerna szalupa a w niej dwudziestu rozbitków. Rozpacz była w ich duszach, śmiertelny smutek w ich oczach.

W miejscu, w którym zginął statek, pływały na morzu tylko szczątki połamanego drewna: były to jakby szczątki rozbitej pochodni, którą tu wrzucono do morza.

III

Gdy torpeda dosięgła M. S. Radłowa, w maszynowni pełnił wachtę smarownik Łoza. Z owej godnej rodziny Łozów ze Sierpca w województwie warszawskim, która czterech braci wysłała na tę wojnę, jednego żołnierza i trzech marynarzy i dwóch z nich już w pierwszym roku straciła.

Wybuch torpedy nie zabił Łoży, jak rozpiął stojącego obok niego pierwszego mechanika, lecz zranił go dookliwie kilkunastoma odłamkami stali. Oślepił go i na pół odurzył. Fala wpadającej wody rzuciła go o ścianę, na szczęście w pobliżu sztorm-trapu. Uchwycił trap. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, lecz z wysiłkiem i przerażeniem piął się do góry. Po-

tem skajlajtem wypadł na pokład. Zatoczył się, oczy mając zalane krwią. Ujrzał go drugi mechanik i pomógł mu do szalupy. Tu Łoza stracił przytomność.

Cztery dni i cztery noce tułali się na łodzi po pustym morzu, zanim ich ujrzał statek norweski. Przechodzili przez sztormy, wypuszczać musieli dryfkotwicę, z trudem trzymali się na fali. Wciąż zalewała ich woda. I jego.

Miał Łoza ciało tak niekzemnie naszpikowane odłamkami torpedy, tak nafaszerowane boleścią, że raczej śmierci bliższy był niż życia. Z licznych jego ran najgorszą okazała się rana w głowie. W lewe oko wpadł kawał żelaza i nie tylko zamienił je w krwawą maź, lecz wlał dalej w głębi, gdzieś pod mózg. Głowa napuchła szpetnie jak dynia, jakby pęknąć miała lada chwila. Była wystawiona na wichry i na słońca wodę; nie mieli czym jej obwiązać. Było coraz gorzej. Wszystko smarownika bolało w chwilach, gdy odyskiwał przytomność. W dzień żarła go gorączka, w nocy trzęsły nim dreszcze. Dolna szczeka mu obrzękła, bo i brodę przesyłało żelazo. Nie mógł połykać śliny, bo gardło nabrzmiało; i w gardle tkwił odłamek.

Leżał bezwładnie na dnie łodzi, dokąd przeciekała woda z zewnątrz. Widział, że towarzysze odnosili się do niego z litością, lecz byli bezradni. Widział również często ich badawcze spojrzenia i domyślał się przyczyn ich ciekawości: patrzeli, czy jeszcze żyje. Bał się, że wrzucą go przez omyłkę do morza w czasie jego nieprzytomności. Strach przed taką śmiercią przeszywał go paniką i był pewnie silniejszy niż prawdziwa śmierć, grożąca mu bezustannie od rany w głowie. Być może, że strach ów trzymał go przy życiu, nie pozwalając przerwać tej wątłej nici.

Przeżył. Cztery dni w szalupie, kilkanaście godzin na Norwegu; potem zawitali do Port of Spain. Gdy portowy lekarz, który przybył na rechę, zobaczył opęczniełe, okrwawione, rżące ciało, nie rzekł, tylko smętnie a wymownie pokiwał głową. Kazał je znieść do swej motorówki. Potem na odchodnym machnąwszy melancholijnie ręką, powiedział do norweskiego kapitana:

— Wyciągnie mi kopyta w drodze do szpitala...

IV.

Smarownik Łoza kopyt nie wyciągnął. Lekarz się mylił. Mylili się wszyscy inni lekarze na Trinidadzcie, kiwający głowami. Ich złowróżbne machnięcia rąk świadczyły raczej przeciw nim i ich naiwności, niż przeciwko niemu. On podjął opór przeciw ich

niewienze, zawziął się przeciw ich mądrości i wykiwał ich. Ci dobrzy dżentelmeni o skórze białej, brązowej i nieraz czarnawej mieli swe trinidadskie doświadczenie życia i śmierci. Więc twardość i trwałość ludzką mierzyli na swą własną, trinidadską miarę. A on ich miary nie uznał i nie przyjął. A on był skądinąd. A jego zrodziła inna ziemia, uboższa niż ich tropikalna, piaszczysta: mazowiecka, lecz przecież w tej biedzie, lecz właśnie w tej biedzie żywotniejsza. Taka była jego natura.

Był to smarownik czterdziestoletni, który więcej niż pół życia spędził na statkach. Przeważnie polskich, kilku obcych. Pił jak inni marynarze i jak inni lgnął do sipawek w portach, lecz nigdy nie był biczmanem, ani kunda, ani łabędziem. Miał swój honor. Był mooniejszy niż inni wyraźnym widzeniem tego co prawe a co niskie. Jego rejsy po świecie nie były czezą włóczęgą; były raczej wędrówką, były może pielgrzymstwem. Nie trwonil w nich sił życiowych, raczej zdobywał je i mnożył. Singapore czy Colon, Gdynia czy Buenos Aires były dla niego jak wartościowe monety, zbierane do zdrowego trzosu. Sosna, poczęta na piaskach mazowieckich, targana szkwałami siedmiu mórz, rozrastała się z duszą spoistą jak dąb i w ciało odporne jak drzwi żelazne. Lekarze na Trinidadzie, zbici z tropu, stanęli w obliczu zagadkowego dla nich fenomenu.

Więc gdy Łoza w kilku godzinach nie skonał, posłali go do szpitala w San Fernando. Tam prześwietlili go i stwierdzili, że ma kawał żelaza w głowie. Obawiając się operować go zwykłym sposobem, spróbowali innego: silnym magnesem zaczęli wywabiać żelazo z głowy. Udało się. Odłamek z triumfem wydobyli na wierzch. Że Łoza przytem nie umarł, wprawiło ich w podziw jeszcze większy niż ich triumf.

Potem resztki oka wydtubali, jamę wyczyścili. A Łoza żył. W międzyczasie wyjęli mu z reszty ciała kilkamaście odłamków. Żył na dobre. Teraz zaczęli patrzeć na niego życzliwiej niż przedtem, z zadowoleniem i nawet z rosnącą sympatją. Jeśli kiwali głowami, to już inaczej: z uznaniem.

Lecz prawdziwy popłoch powstał w szpitalu na czwarty dzień po operacji oka. Jak szpital szpitalem, nie było jeszcze tak dziwnego wypadku. Lekarze oniemieli, pielęgniarki potraciły głowy. Ludzkie pojęcie się kończyło.

Łoza, jak każdy pacjent tuż po ciężkiej operacji, dostawał bardzo lekki pokarm: rano dwa kawałki chleba prawie bez masła i wodnisty

cup of coffee, na obiad odrobinę, pozał się Boże, ryżu z plasterkiem mięsa maleńkim "jak zegarek na ręce", na kolację znów suchawy chleb. Przez trzy dn smarownik znosił to cierpliwie jak karę Bożą, lecz w miarę, jak wyjaśniało mu się w głowie po operacji, serce jego wypełniał jeden coraz głębszy żal: poczucie doznawanej krzywdy. Każdy marynarz wie, co to dobra strawa; więc obola-

łą głowę smarownika zaczęła gnębić myśl, że chcą go tu na Trinidadzie zamorzyć głodem.

Gdy na czwarty dzień rano pielęgniarka przyniosła zwykłe śniadanie, dwa kawałki chleba, zerwały się w marynarzu tamy. Zaryczał jak zraniony lew do dziewczyny:

— Jeść! Dajcie mi jeść!...

(Dokończenie nastąpi)

ZYGMUNT S. KLINGSLAND

MIECZYŚLA W TRETER

Kustosz lwowskiego muzeum, konserwator gmachów państwowych, dyrektor Instytutu krzewienia sztuki polskiej zagranicą, autor licznych monografii historyczno-estetycznych... — już samo to pobieżne i niekompletne zestawienie wskazuje, na jak szeroka skalę zakreślona była działalność Tretera, z tak wydatną uprzejmością pracującego nad wpajaniem swoim i obcym zamiłowania do polskiej kultury artystycznej. Wszystko, co godne jest miejsca w bogatym, wielowiekowym rejestrze twórczego dorobku sztuki polskiej, było mu bliskie i drogie. Swojem subiektywnym zrozumieniem piękna i obiektywną wiedzą historyka dzielił się z innymi — takie było istotne zadanie życiowe, które Treter sam sobie wyznaczył. A spełniał je bardzo chlubnie.

W POPRZEDNIM 9 (61) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO":

Z ziemi włoskiej do Polski; Felicia Lilpop-Krancowa: Od Kapiarów do "Orla Białego"; Jan Lechoń: Mokotowska piętnaście; Ks. Józef Jarzębowski: Ewangelja; Władysław Broniewski: Mazurek Szopena i Rozmowa z historją; Melchjor Wańkiewicz: Dzieje rodziny Korzeniewskich; Kazimierz Suszczyński: We do not beg for freedom — we fight!; Halina Kono packa: Sonja Henie; Zygmunt Klingsland: Dwa filmy; Tygodnik dla kobiet; Opinie i zdarzenia.

Zasługi Tretera są tem większe, że w pracy swojej stawał niemal co krok nietylko wobec licznych ale i różnorodnych trudności: koterje, protekcyjne regulaminy i — co jeszcze znacznie groźniejsze — poglądy estetyczne władzy i bezlitosne nożyce budżetowe. To też, kiedy przychodziło się do niego z propozycją urządzenia jakiejś wystawy czy innej "imprezy" artystyczno-propagandowej, Treter zaczynał sypać ironicznymi uwagami na temat naiwności projektodawcy, poczem szczegółowo wymieniał wszystkie trudności "nie do przezwyciężenia", aby w końcu podejmować rzeczową rozmowę o sposobach i warunkach zorganizowania takiego pokazu. I dopiero wtedy okazywało się, ile wrodzonych zalet, cennych talentów, jakie zasoby twórczego optymizmu kryły się pod zrędliwymi uwagami tego pseudo-sceptyka i pozornego niedowiarka. I dopiero wtedy okazywało się, jak to Treter potrafił dyplomatycznie lawirować pomiędzy ministrami, skarbowcami a nawet, — co najtrudniejsze — pomiędzy samymi artystami, by po ominięciu wszystkich niebezpieczeństw szczęśliwie dopłynąć do celu: do urzeczywistnienia takiej czy innej wystawy, której urządzenie uznał za pożądane. I dopiero wtedy okazywało się, ile gruntownej wiedzy, niespożytej energii i szczerego entuzjazmu poświęcał Treter na krzewienie sztuki polskiej zagranicą, komentując każdy z tych pokazów rzeczowo pisemnie studjami krytycznymi.

Jeżeli w przyszłości zrobiony będzie dokładniejszy inwentarz działalności Tretera, to dopiero wtedy okaże się, jak wielkie zasługi położył on dla polskiej kultury artystycznej.

Umarł Treter, ponieważ nie mógł już dłużej patrzeć na systematyczne i barbarzyńskie niszczenie przez wrogów Polski wszystkiego tego, co stanowiło istotny sens całego życia jego.

TADEUSZ STRZETELSKI

ROZMOWA Z "PESTKAMI"



Nasze "Pestki"

Choć kalendarz wskazywał koniec lutego, niedziela była ciepła, słoneczna, niemalże wiosenna jak to często w Nowym Yorku bywa. Punktualnie o godzinie jedenastej, jak przystało na kobiety w mundurze — "wmaszerowały" na miejsce spotkania. W brązowych mundurach jest im wszystkim do twarzy. Pierwszy raz spotkałem je na konferencji prasowej w nowojorskim klubie amerykańskiej pomocniczej służby kobiecej. Reporterzy i reporterki zarzucili je pytaniami a fotografowie rozpoczęli frontowy atak z całej baterji obiektywów. Tego samego jeszcze dnia pojawiły się w prasie wieczornej fotografie "smart Polish Pestkas". Uśmiechnięte twarze i rząd ładnych nóżek od komendantki poprzez sierżantów i kaprała aż do "private'ów".

Rozpocząłem swój wywiad-rozmoowę od komendantki, kapitana Ireny Grodzkiej. Jakże inny był wyraz jej twarzy, gdy opowiadała mi koleje swego życia w ostatnich pięciu latach. W niebieskich, przyjaźnie patrzących oczach przebijał się smutek, który o zostawił trwałe ślady na twarzy o klasycznych rysach.

— Wszystkie używamy pseudonimów — zaczęła swą opowieść kapitan Grodzka. Rodziny nasze pozostały przeważnie w kraju pod okupacją

niemiecką. Ja pochodzę ze Lwowa. Studjowałem botanikę. Ojciec mój profesor politechniki lwowskiej jest w którymś z niemieckich obozów koncentracyjnych. Nie wiemy gdzie... Nie mamy o nim żadnej wiadomości. Dziś już liczy 63 lat... czy potrafi przetrzymać to wszystko — Bóg raczy wiedzieć... Siostra moja, medyczka, pracuje we Lwowie w słynnym instytucie profesora Weigla, produkującym szczepionkę anty-tyfusową, którą Niemcy chwalać się jako swoim wynalazkiem.

— A reszta rodziny?

— Mąż mój zaginął w Rosji i nie wiem, co się z nim dzieje. Robiłem wszystko co można, by przed wyjazdem z Rosji do Persji odnaleźć go. Bez skutku.

— Kiedy opuściła Pani Rosję?

— Pierwszego kwietnia 1942 roku — odpowiedziała bez wahania, zaciągając śpiewnym lwowskim akcentem — daty tej nigdy nie zapomnę.

— A gdzie żyła Pani w Rosji?

— Naprawdę szukałby pan tej miejscowości na mapie. W Kazakstanie, tuż nad granicą chińską, wśród mongolskiej ludności. Najbliższa miejscowość — to wioska Bolszaja Bukoń. Kiedyś były tam ponoć piękne bukowe lasy, z których dzisiaj pozostało zaledwie kilka drzew. Niedaleko od

tej wsi pracowaliśmy w małym "sowchozie". Było nas tam około 150 rodzin. Głównie dzieci i kobiety... Żony oficerów, inżynierów, kupców... Przeważnie ze Lwowa. Wykonywałyśmy najcięższe roboty polne. Praca trwała w okresie siewów i zbiorów od świtu do nocy... Panował głód...

— Na wsi głód...?

— Prawda, wydaje się to dziwne, a jednak tak było. Głód doskwierał również i miejscowej ludności, gdyż kontrola zbiorów i produktów rolniczych była niezmiernie surowa. Niczego nie można było ukryć przed okiem surowych kontrolerów. Pamiętam, że dwie Polki, chcąc ratować swe dzieci przed śmiercią głodową, zdecydowały się na tak "zuchwały" postępek, że nocą wykopały garść kartofli na polu. Przyłapano je. Rok więzienia... To wszystko wydaje się teraz jakimś straszliwym snem. A przecież wiele rodzin polskich przechodzi nadal to piekło.

— Z Pani grupy wszyscy wyjechali?

— Ale gdzież tam. Tylko dwanaścioro szczęśliwców.

— A reszta?

— Została. Wiem, że część wyjechała potem do Semipałatyńska i pracuje tam w szwalniach i fabrykach.

— A jak było z chorobami?

— Na szczęście klimat naszego miejsca zesłania był wyjątkowo dobry. Poza malarją, która panowała nagminnie i głodem, wycieńczającym organizmy nie cierpieliśmy na nic. Muszę przyznać że chininy było wbród i że pomoc lekarska na tym "sowchozie" była względnie dobra.

... "poza malarją, która panowała nagminnie i głodem nie cierpieliśmy na nic" — to zdanie wypowiedziane tak prosto, wracało mi wielokrotnie w czasie tej rozmowy.

— Ale prawdziwie dantejskie sceny widziałam i przeżywałam w Taszkencie. Już nie drodze do Persji. Niech Pan spróbuje wyobrazić sobie olbrzymi plac na dworcu kolejowym tego wschodniego miasta. Plac przypekany palącymi promieniami słońca i przepełniony mrowiem ludzkich nędzarzy w łachmanach... Umierających z głodu i chorób... Tyfus, czerwonka, szkorbut, wszy, ropiejące rany na ledwie poruszających się szkieletach. Było to w okresie, gdy do Taszkentu napływały nie tylko fale Polaków ale i uchodźców rosyjskich z Ukrainy i okręgu moskiewskiego, zagrożonego wówczas przez armje nie-

mieckie. Pracowałam na punkcie dworcowym. Pomoc nasza była kroplą w morzu potrzeb. Cztery moje koleżanki zaraziły się i pozostały na zawsze na ziemi rosyjskiej. Ja jakoś przeżyłam. Poza tragedją ogólną, przeżywałam i osobistą. Dniem i nocą obchodziłam barłogi ludzkie na placu w nadziei, że wśród tych nieszczęśliwców odnajdę mego męża. Na próżno... Ludzie marli setkami z głodu

i chorób. Było to tem tragiczniejsze, że zbawienie, granica penska była już tak blisko... Kto tego nie widział — nie uwierzy. Nie przypuszczałam, że będę w Stanach po raz drugi bez męża.

— Jakto po raz drugi?

— Mąż mój był stypendystą rockefellerowskim, byliśmy tu razem w latach 1931-1933. Studjowałam na uniwersytecie Harvard. Złożył pracę doktor-

ską pod tytułem: "System prezydencki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej". Egzemplarz tej książki przesłał prezydentowi Rooseveltowi i otrzymał nawet z Białego Domu piękne podziękowanie.

Rozmowa z komendantem Grodzką dobiegła końca. W kolejce czekały: jeden i drugi sierżant, kapral "Chinka" i szeregowy. Ale o nich opowiemy kiedyindziej.

JAN ROSTWOROWSKI

PARK WIECZORNY

*Maleńka, Polskę nosisz w dłoniach z alabastru
I w ufnych, jasnych oczach, i w włosów zaplocie,
Moją Polskę zniw złotych, sianożęć i jaskrów,
Kraj dziecinnych kłopotów, kraj matczynych pociech.
Bo cud stał się wieczorem w strzyżonym ogrodzie,
Gdy gorzki zapach tui po trawie się ślaniał,
A wszechpamięć na palcach podbiegła, jak złodziej,
Kraść perły łez, z podróźnej skarbonki wygnania.
Maleńka, tyś napewno nie wiedziała o tem,
Przez gasnącą aleję idąc promienista,
Jak ogromnie chciał wówczas dzielić swą tęsknotę
Z polskiem szczęśliwym dzieckiem tragiczny turysta,
Jak wyciągał do śmierci zaprawione ręce,
Jak myślami wybiegał pośpiesznie naprzeciw
Wymodlonej Ojczyźnie w bławatnej sukience,
Za cenę krwi uszytej miłością stuleci.
To była chwila tylko, jedno oka mgnienie,
Jak zapach, jak błysk wstążki lub kuli rozdarcie,
Jakby nocą jesienną zadzwoniło strzemię,
A zamysłony żołnierz, stojący na warcie,
Ujrzał na siwym koniu, w szumie listopada
Jej cień przejeżdżający wzdłuż uspionych granic,
Jak gdzieś w dalekim kraju zagrana "Brygada".
Minuta, której światu nie odda się za nic.
I już gaśniesz, maleńka, w gasnącym ogrodzie,
Tumanem mgły rozwianym przez wieczorny powiew,
I tylko usta szepcą, jak kiedyś, jak codzień,
W Paryżu czy w Londynie: "Ty jesteś jak zdrowie".*

Małej Izabelli Godtewskiej poświęcam.

FELICJA LILPOP-KRANCOWA

O Polskiej Wystawie w Metropolitan Museum



Jacek Malczewski: Smierć wygnanki

Wyobraźmy sobie, że ktoś podejmie próbę urządzenia wystawy impresjonistów francuskich — bez udziału Cezanna, Moneta, Degasa i Renoira. Impreza taka byłaby oczywiście kompletnym fiaskiem, nie można bowiem zaprezentować jakiegokolwiek kierunku malarskiego bez udziału tych, którzy ów kierunek stworzyli. Byłaby fiaskiem i z innego powodu: oto ludzie przestaliby się interesować tymi, których im pokazano, a zaczęli dopominać się o tych, których niema. Odrazu zauważyliby, kogo brak.

Publiczność amerykańska, w obliczu eksponatów polskiego malarstwa dziewiętnastego wieku, wystawionego w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, znajduje się w sytuacji daleko trudniejszej. Temat jest dla niej całkiem nowy i graniczący z odkryciem; zapuszcza się w ów labirynt nieznaną w nadziei, że dotarła do źródła. Jakże ma zauważyć brak tych, o których istnieniu nigdy nie słyszała? Sąd wydaje na podstawie tego, co widzi. Sąd niesprawiedliwy, choć jaknajbardziej sprawiedliwej, być może, wydany. Uwzględni więc w tej ocenie anegdotę i element uczuciowy, wzruszy się "Śmiercią wygnanki" Jacka Malczewskiego, zainteresuje "Odwrótem z pod Moskwy" Stanisława Witkiewicza, zaduma nad folklorem

Włodzimierza Tetmajera, i Wierusz-Kowalskiego, przyjrzy ułanom Kossaka i zadziwi galopującymi końmi Chełmońskiego i Brandta. Ale to wszystko.

Bo też my sami przez długi czas patrzyliśmy na owe płótna właśnie w ten sposób. Tylko, że co dla cudzoziemców jest w nich egzotyką — dla nas stanowiło jakże mocny związek z epoką. Obrazy te znaleźliśmy i kochaliśmy od dzieciństwa, jak żywe karty historii, z którą zrosły się imiona naszych dziadków, walczących w powstaniach, męczeństwo zesłanych sybiraków i codzienna cierpliwość ludu, urok polskiej wsi i pełnego fantazji kawalerskiego życia na tej ziemi własnej i jedynej.

I trzebaż było dopiero zachłyśnięcia się wolnością, szerokiego oddechu, aby namowo spojrzeć w przeszłość i z pod zasłon legendy i bezkrytycznego kultu a niekiedy też z pod pajęczyny zapomnienia dobyć na światło dzienne beczenne klejnoty, i precz odrzucić plewy.

Najmłodsze, już w wolnej Polsce wychowane pokolenie malarzy, zaczęło rzecz niejako od początku. Do owego archiwum pamiętek podchodziło całkiem od nowa i szukało w nim czegoś zgoła innego. I nagle,

zacieniony sławą Matejki, wypłynął wspaniały Michałowski, odżyli Gierymscy, porwał niezwykłą pięknoscą przedwcześnie zmarły Podkowiński (kolega Pankiewicza), Rodakowski, Ślewiński, Kotsis stali się przedmiotem gorących dyskusyj. Było to zwycięstwo rasowego malarstwa nad konwencjonalnym realizmem szkoły monachijskiej. Znane na cały świat malarstwo impresjonistów francuskich przestało być nieosiągalnym, dalekim cudem z nad Sekwany. Odnależliśmy z nim wspólny język poprzez naszą własną, bogatą tradycję, bo "Pol-

ska leży nad morzem Śródziemnym" jak powiedział kiedyś Jan Parandowski na pięknym odczycie o naszej literaturze, wygłoszonym w Paryżu.

Ale wróćmy raz jeszcze do wystawy. Nie została ona zorganizowana w łatwych warunkach, to prawda, i siłą rzeczy zgromadzić mogła jedynie to, co było pod ręką, to znaczy na tym kontynencie. Zebrało się tego zresztą dość sporo, może nawet aż za dużo na tak małą salkę, w której notabene jaskrawo czerwony kolor ścian podkreśla jeszcze szarość tych płócien. Historyczna i artystyczna war-



Artur Grottger: Młody Napoleon



Jan Stanisławski: Pejzaż

tość jakiegokolwiek dzieła — są to dwa pojęcia zupełnie różne i nie należy ich ze sobą mieszać. Przesądzać o urządzeniu reprezentacyjnej wystawy dziewiętnastego wieku — bo mimo szczupłych rozmiarów sam fakt zorganizowania pokazu w Metropolitan Museum zalicza go eo ipso do tej kategorii — winny oba te czynniki. Za pierwszym może przemawiać cel przysłużenia się naszej propagandzie drogą plastyki, która jako język międzynarodowy, zrozumiała jest dla wszystkich. Teza, że lepiej to pokazać niż nic, łatwo się tutaj daje obronić. Chodzi przecież o to, aby wiedzieli o nas jak najwięcej; nie możemy pokazać im wszystkiego, pokażmy chociaż trochę. Rzecz jasna, że przy takim założeniu czynnik artystyczny musiał uciepieć. Brak najświetniejszych malarzy stanowi lukę, której dobre chęci organizatorów nie są w stanie wyrównać.

Wystawa obejmuje dzieła trzydziestu pięciu malarzy, między innymi Chełmońskiego, Kossaka, Malczewskiego, Stanisławskiego, Wyczółkowskiego, Witkiewicza. Nazwiska te dla każdego Polaka mówią same za się-

bie, to też pójdzie on z radością odszukać dawnych znajomych w gościńnych murach muzeum. Więc odrazu oczy jego natrafiają na "Jarmark wiejski" Chełmońskiego, a dalej na mniej wartościowe malarsko aczkolwiek bardzo znane "Pędzące sanie", zobaczy następnie "Olszynkę grochowską" Wojciecha Kossaka, "Konie" Wierusz-Kowalskiego, Stanisławskiego niestety jedno tylko "Kwiaty" i Wyczółkowskiego małe płótno "Pani w kimonie", ładne pejzaże Brochocznego i pełne uroku "Wspomnienie" Szermentowskiego.

Pójdzie, obejrzy, wypowie parę uwag krytycznych i może oceni sprawę jak należy.

Cudzoziemiec jednak, nie obznajomiony z naszą malarską tradycją, zapamięta to właśnie i tylko to, jako manifestację polskiego ducha dziewiętnastego wieku. A jak mówi stare przysłowie, "jak cię widzą, tak cię piszą". I byłoby to niezawodnie z krzywdą dla nas. Chyba, że już z wolnego kraju przysyłemy im na pokaz — oby jak najprędzej — wszystko, co nasza sztuka najpiękniejszego wydała, jak Polska długa i szeroka.

JAN LECHOŃ

NOWA SZTUKA CWOJDZIŃSKIEGO

Antoni Cwojdzinski jest nie tylko jednym z najpierwszych polskich twórców teatralnych, jest zarazem jednym z bardzo niewielu, którzy wnieśli do naszej twórczości komedjowej jakże rzadki dar nowości. Dziela swe zamiłowania i swój czas między naukę i teatr, asystent przy katedrze uniwersyteckiej, reżyser i aktor powziął Cwojdzinski przed laty ambitny zamiar, aby wyrazić teatralnie te dwie zarazem swoje pasje, aby uczynić scenę terenem dysputy naukowej; tak powstała komedje o teorii Freuda, teorii Einsteina i teorii Kretschmera, wszystkie przyjęte jaknajlepiej i przez kapryśnych smakoszy i przez codzienną publiczność.

W sztukach tych Cwojdzinski dał nowość prawdziwą. Jeśli bowiem Bruno Winawer, jak on naukowiec i dramaturg zarazem, w komedjach swych zajmował się nie nauką, ale tylko perypetjami życiowymi naukowców, Cwojdzinski uczynił tematem swych utworów naukę samą, obiektem nowocześnie teorie fizyki, psychologii i medycyny w kształt dramatyczny. Pomimo zupełne innej atmosfery było coś z platońskich dialogów w owych komedjach Cwojdzinskiego, który jak Platon w "Uczcie" przekonywał nas nie tylko przez rozmowę, ale i przez sytuację.

Być może ten typ sztuki pojawił się gdzieś od tego czasu poza Polską; pewne jest zato, że w momencie, gdy Cwojdzinski pisał swą "Teorię Einsteina" był on prawdziwym pionierem nie tylko w Polsce ale wogóle pierwszym tego typu autorem w świecie. Nie do pokonania nieraz trudności w przenikaniu naszej twórczości na Zachód sprawiły, że jak w wielu dziedzinach i tutaj mogliśmy ofiarować polskiemu zdobywcy tylko nasze, krajowe laury.

Oczywiście, że twórczość tak nowemi idącymi drogami nie dawała się mierzyć przez miary stosowane do innych zupełnie rodzajów: do komedji charakterów, do scenicznych malowideł epoki czy środowiska. Charakteru dawał Cwojdzinski tyle akuratu, aby jego postacie nie były rezonerami, epoki i miejsca — tyle właśnie, aby dać nam złudzenie życia a nie profesorską dysputę; nie mówimy, aby Cwojdzinski dać tych innych walorów nie umiał, poprostu dawać ich nie chciał i dla osiągnięcia swych ówczesnych celów nie potrzebował.

Wojna, z której okropności zdołał się Cwojdzinski poprzez bardzo dra-

matyczne przygody uwolnić, postawiła przed nim nowe zadania, wzbudziła nowe ambicje i to trzeba przede wszystkim podkreślić, że Cwojdzinski te nowe nakazy zrozumiął i postawił sobie nowe cele, chlubnie świadczące o jego sumieniu artystycznym i o darze rozwoju, najcenniejszym sprzymierzeńcu każdej twórczości.

Parę dni temu właśnie nasz sympatyczny, ciągle biedujący i wciąż podejmujący trudne zadania "Teatr Polskich Artystów" zagrał trzecią sztukę Cwojdzinskiego, powstała w nowych warunkach i wyrażającą przemianę tego cennego i niezwykłego talentu; bardziej może niż poprzednie sztuka ta, mosząca sugestywny tytuł "Niemiec" rozświetla nam tego talentu zarazem drogi i bezdroża.

Pierwsza powstała na uchodźstwie komedja dramatyczna Cwojdzinskiego "Piąta kolumna" powiedziała nam, iż Cwojdzinski rozumie, że życie nasze obecne nie da się przedyskutować, wtłoczyć w teorie i wytłumaczyć przez nie, że musi być ono przeżyte i odczute, że zrozumienie jego nie leży w możliwościach umysłu ale na tajemniczych drogach instynktu i uczucia.

Nie zrzekając się dawnych pasji i w owej "Piątej Kolumnie" raz po raz dawał się Cwojdzinski ponosić namiętności do dyskusji, z czem jego student były oenerowiec raz po raz go zdradzał; w całości jednak nowa sztuka świadomie i szlachetnie napisana dla szerokiej publiczności uderzała w ton melodramatu, tak nieślusnie w teatrze naszym zamikły, a rozbrzmiewający zawsze szeroko w epokach wielkich przewrotów.

Jeśli zdamy sobie sprawę, że większość dramatów Słowackiego, wszystkie dramaty Wiktora Hugo, "Ponad śnieg", "Biała rękawiczka" i "Turoń" Zeromskiego, że cała teatralność powieściowa Sienkiewicza należą właśnie do tego rodzaju — zrozumiemy, że zwracając się do niego bynajmniej nie obniżał Cwojdzinski swych ambicji, ale tylko szukał właściwych czasowi wyrazów dla swej twórczości, starając się wzmocnić jej dramatyczność i wzmóc sceniczne życie swych bohaterów.

Pojawiające się raz po raz w tym czasie, krótkie opowiadania Cwojdzinskiego dowiodły wymownie, że temu zwrotowi niejako formalnemu odpowiadają i wewnętrzne przemiany czy samoodkrycia autora, że daje on się coraz bardziej prowadzić instynk-

towi, coraz ufniej powierza się uczuciu, znajdując dla niego nieraz niezwyczajnie proste a wymowne wyrazy.

W "Polsce Podziemnej" nastąpiło jakby zespolenie harmonijne i szczęśliwe obu tendencji Cwojdzinskiego; cokolwiekbyśmy myśleli o prawdopodobieństwie postaci Mary, rezonującej Polki-Amerykanki, cała sztuka była jakby pięknym zwycięstwem uczucia nad dyskusją, której przecież dano wszelkie honorowe szanse; była to jakby rozprawa Cwojdzinskiego z samym sobą, zakończona zwycięstwem autora na stronę dramatyczności życia na stronę logiki uczuć i instynktów; ten proces charakteryzujemy tu bardzo ogólnie, ale taki mniej więcej jest jego sens ostateczny.

Rozpatrywana (zbyt może po doktrynersku) pod kątem tych przemian twórczości Cwojdzinskiego, jego najnowsza sztuka wydaje się nam jakby zemstą dawnego Cwojdzinskiego nad przemienionym, jakby upoczywają chęcią dowiedzenia nam, że zawsze da się dyskutować, choć wiemy, że, niestety, nie zawsze jest to możliwe, bo wobec argumentów bólu i cierpienia, wobec urażonych instynktów zbiorowych rozum bywa nie tylko bezsilny, ale nieraz i dwuznaczny i nieraz mimo najlepszej woli — radzi najgorzej.

Tendencja tej sztuki jest niezwykle szlachetna; jest to chęć dania wszelkich argumentów przeciw tezie, że jakiś naród może być nikczemny, że jakaś dusza narodowa może być nieuleczalnie chora, jest to chęć walki z rasizmem, której końcem jest klęska w tym sensie, że istnieje jednak rasa przeklęta, nie do naprawienia i nie do wychowania — Niemcy.

To co się nam w sztuce Cwojdzinskiego wydaje zasadniczym błędem, to złe zastosowanie dyskusji do tego, co jest rzeczą instynktu. Czując, że Niemcy są rasą przeklętą, postępując z nimi według tego odczucia, nie jesteśmy bynajmniej rasistami. Kiedy ten nasz instynkt podbudowujemy przez teorię, schodzimy niemal na jego bezdroża; to upoczywianie nasuwające się wrażenie jest napewno największym choć trudnym do zdefiniowania nieporozumieniem, które zachodzi między zamiarem autora a wykonaniem tego zamiaru. Poza to zaś Cwojdzinski utrudnił sobie zadanie, dość swobodnie rozdając głosy w swym dialogu i każąc lekarzowi-Anglikowi stawiać od razu krzyżyk nad możliwością poprawy Niemców

(jeden tylko taki jest Anglik — Vansittart), młodej zaś Polce, której ojca Niemcy zabili, bronić ze łzami w oczach tej nadziei; jest to naszym zdaniem duży grzech przeciw prawdopodobieństwu psychologicznemu a przez to i przeciw prawom żłudy scenicznej.

Dwa pierwsze akty „Niemca” Cwojdziańskiego wpływając nam w atmosferze eksperymentu naukowego, dość trudnego do pomyślenia tam, gdzie wała bomby i naprawdę krwią serca; stąd wrażenie żartu, które tylko dzięki taktowni i niezwykłemu talentowi autora nie zamieniło się w głębsze nieporozumienie; w końcu drugiego i w trzecim akcie melodra-

mat bierze górę, wtedy też, może wbrew intencjom autora, wybucha najwyższy oklask widza.

Cwojdziański jest talentem tak wybitnym, pisarzem takiej klasy, że nie sposób zbyć jego utworu zdawkowym komplementem; to cośmy tutaj napisali jest to niejako spowiedź przed autorem z tych myśli, wątpliwości i uwag, które sztuką swą wzbudził; to samo już jest dowodem, jak zapładniający myślowo jest ten utwór.

Wskazywać autorowi możliwości, których on sam nieraz nie widzi, nakłaniać go do zadań, przed których podjęciem się wzdraga, było to zaw sze przywilejem krytyki — z tego

przywileju, który jest zarazem prawem przyjaźni, staraliśmy się tutaj jak umieliśmy najlepiej skorzystać.

Piszący te słowa nie mógł być niestety na premierze, widział tylko próbę generalną, kiedy aktorzy jeszcze markowali i nie wyszli daleko poza zarysy ról.

Dlatego też nie wydajemy sądu o zauważonych jaskrawych przesadach: tutaj o zbyt nerwowym śmiechu, gdzieindziej o ustawicznym gniewem podnoszeniu głosu. Chcemy tylko podkreślić już na próbie gotową doskonałą, ciepłą i komiczną zarazem kreację pani Bohdańskiej-Cwojdziańskiej i rzetelny charakterystyczny ton pana Kizemieńskiego.

WITOLD HULANICKI

CUD NAD JEZIOREM GENEZARETH

„Kiedy ranne wstają zorze”... śpiewa ukocmołuchany arabczuk, czyszcząc komin Cosa Nova w Tyberjadzie.

„Nie damy ziemi skąd nasz ród...” wyciąga chór dzieci arabskich, prowadzony przez ojca Marjana w kaplicy.

Któż to pobudził do takich wyczynów dziecięcą ludność Tyberjady, kto nauczył polskich śpiewów, tych, które nam modlitwę dziś zastępują?

Ośrodek uzdrowieńców - junaków, trzytygodnowe turnusy, po trzy, cztery tuziny szczebiocących dzieci rasy takich cuda sprawiają, jakich żadne instytucje propagandowe, żeby lata całe ze skóry wylaży, osiągnąć nie potrafią.

Parę razy dziennie miasto z rozrzewnieniem patrzy na maszerujących ze śpiewem junaków to do „solanek”, to do kąpieli w jeziorze, to na piłkę nożną na srogi mecz z lokalną drużyną piłkarską. Rozrzewnienie — nic innego.

Książ Marjan, Jugosłowianin, gościnny gospodarz, który już niemal od roku zapomniał o różnicy pomiędzy serbskim i polskim językiem. To on pokochał narówni z personelem opiekuńczym tych chłopaków i dziewczęta, które tylko na trzy tygodnie kolejno przyjeżdżają tu na odpoczynek.

Odpoczywają i mimowoli, bezwiednie promieniują.

„To ci z Rosji...” myśli niejeden „a te sieroty... a śpiewają..”

Śpiewają, bo nawet nie podlane kwiaty pachną i roztańczają swe gamy kolorów dokoła siebie. Takie już są te nasze dzieci, że bez śpiewu nie umieją dnia zacząć... ich śpiewanie u-

dziela się wszystkim, co tylko są w zasięgu ich słowicznych głosików.

Od wieków słynne źródła lecznicze, dzikie baseny siarczane El Hammy a i te solankowe nad samem jeziorem rozbrzmiewają szczebiotem polskim... wśród pochyłonych wiekiem i sterynych chorobami starców... aż dziw bierze, ile radości roznoszą nasze dzieci.

Na golasa, nie widać ani przydużych buciarów, ani zwisających, źle przykrojonych battledressów... nasze zwyczajne roześmiane, rozbrykane dzieciśka.

Dopiero w powrotną drogę uszykowane szeregi srogich wojaków, odprowadzane gasnącymi oczyma, dożywającymi wieku żrenicami pacjentów, rozśpiewują swą młodość hen aż głosy ich uderzają w okoliczne góry Palestyny, Syrii i Transjordanji.

Bo jezioro zawsze było krainą cudów, bo Pan nad Pany suchą stopą po jego wodach chodził, bo tuż w pobliżu w Kanie Galilejskiej wody w wina się przemieniały, bo Capharnaum, bo Magdala, bo góra ośmiu błogosławieństw...

Tak wielkiej wojny było trzeba aby i polski cud stał się nad jeziorem Świętem. Przyleciały te nasze słowiki kochane, przyniosły ze sobą całe nak-

reza Polski, rozsiewają ją szczerze bezpretensjonalnie wkoło siebie i nic innego w sercach miejscowych nie wzbudzają prócz rozczulenia i dalekosiężnych sympatyj.

U cudzych... a cóż dopiero u swoich!

Trzeba tylko popatrzeć na kometanta Ośrodka jak zjada oczyma swoich pupilów. A „panienka” gospodyni tylko na brzuszki klientów pogląda a patrzy, czy rosną, czy nie głodni. A profesorowie, ten postrach w życiu codziennym zaoranego junaka — tutaj nie narzucają się, tylko troskają się, by dzieci nie zapomniały czego już z mozołem się nauczyły... byle nie dokuczać, byle nie zachmurzać beztrojskich horyzontów.

Gdzie pięciu Polaków tam gazeta i orkiestra — mówią cudzoziemcy.

Orkiestry tu niema, ale śpiewu po uszy. Żyje się tu pograżonym w pieśni. Przebudzenie swe dzieci oznajmiają pieśnią — z pieśnią na ustach spać idą.

I ktoby powiedział, że co junaczek kochany — to tragedia. Straszna nie do wiary krucjata...

I czy to gromada, czy swoista dzieciom beztroska, czy dziwna w tym wieku subtelność, czy też kontrast dzisiejszego ich życia do niedawnej gehenny — pierwsze wzrokowe wrażenia przy obcowaniu z nimi raczej o przyszłości zadumać się zniewalają... a nie o tej czarnej niedawnej ich przeszłości...

„Święty na wiek wieków święty” śpiewa wieczorem arab kominiarz.

Pozostanie po tych naszych dzieciach na długie lata świetlana niezapomniana smuga nad świętem Jezio-

Nie wystarczy czytać

“Tygodnik Polski” —

należy go

prenumerować!

TYGODNIK DLA KOBIET

(pod redakcją pani Wandy)

KWIATY



Kwiaty przodują w tegorocznej wiosennej modzie w świecie modniarskim. Stanowią one przyjemny kontrast z monotonią ciężkich kapeluszy zimowych. Róże, fiołki, stokrotki i hjacynty zakwitły wcześniej tego roku, ożywiając barwne modele kapeluszy.

Aby stworzyć piękną i miłą dla oka harmonję barw — trzeba dobrać do tego kwiecistego kapelusza wiosennego odpowiednie odcienie kredki do warg Heleny Rubinstein "Red Rose" oraz pudru "Opalescent".

KALENDARZYK "ZNACZKOWO-KUPONOWY" NA TYDZIEŃ BIEŻĄCY

Mięso, tłuszcz, sery, masła, itd. można nabyć w tym tygodniu za znaczkami z książki żywnościowej Nr. 3, Y i Z od dziś do dnia 20-go marca. Ważne są również Kupony A8, B8, C8 z książki żywnościowej Nr. 4 — od dziś do dnia 20-go marca.

Konserwy, puszkowane produkty, itd. — można nabyć zapomocą zielonych kuponów A8, B8, C, D, i E8 z książki Nr. 4 — od dziś do dnia 20-go marca. Każdy kupon posiada wartość 10-ciu punktów.

Reszty będą od dziś wydawane we formie "tokenów", oficjalnej monety obiegowej a każda moneta będzie miała wartość jednego punktu.

Krażki czerwone będą używane na wydawanie reszty z kuponów czerwonych książeczek Nr. 4 na mięso, sery, tłuszcz, masła itd.

Krażki niebieskie będą służyć do wydawania reszty z kuponów niebie-

skich książeczki Nr. 4, na konserwy, produkty konserwowane, puszkowane mleko, itd. o wartości 10 punktów każdy.

Należy przytem zwrócić uwagę że podczas gdy ważność tych kuponów jest ograniczona w czasie, krażki będą ważne bez ograniczenia, t. zn. bezterminowo.

Cukier — Kupon nr. 30 w książce nr. 4 upoważnia do nabycia 5 funtów cukru, od dziś do dnia 31-go marca. Dodatkowo 5 funtów cukru można nabyć na konserwy tylko, zapomocą kuponu nr. 40 w książce Nr. 4.

Obuwie — Kupon Nr. 18, w książce Nr. 1 oraz kupon "samolotowy" w książeczce Nr. 3, upoważniają do nabycia obuwia bez ograniczenia w czasie.

Pomysłowa gospodyni robi TORT Z JABŁEK

Masz droga przyjaciółko kłopot z deserem na niedzielny obiad? Albo może oczekujesz gości i nie wiesz, co podać do herbaty? Proszę poprobować swych zdolności kucharskich i przygotować ten pyszny a jakże zdrowy tort z jabłek —

Przepis

2 ½ filiżanki mąki
1 łyżeczka soli
1 łyżeczka cynamonu
½ łyżeczki utartej gałki muszkatołowej (nutmeg)
½ łyżeczki korzeni („Alspice")
½ łyżeczki utartych goździków (cloves)
½ filiżanki masła
1 ¼ filiżanki ugotowanych jabłek.
¾ filiżanki rodzynek
¾ filiżanki siekanych orzechów.
Przesiać mąkę, dodać soli, cynamonu, gałkę muszkatołową, "all spice",

FIVE DAY WONDER COURSE

Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się nale-
ży czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.

Telefonujcie lub piszcie:

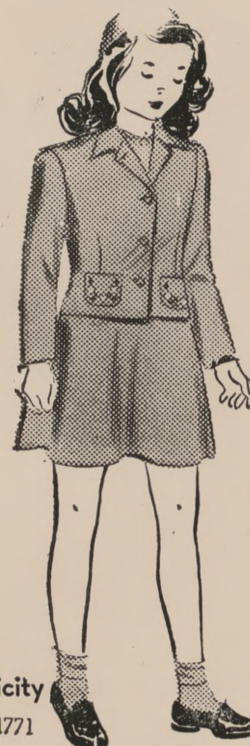
HELENA RUBINSTEIN

715 — 5ta AVENUE
New York City

Tel. Eldorado 5-2100

goździki. Ubić masło z cukrem. Ugotować jabłka, nie słodząc. Dodać proszek do pieczenia, zmieszać i wlać do ubitego masła. Dodać orzechy, rodzynków, zmieszać i stopniowo do dawać mąkę, miesząc cały czas. — Wlać do podsmażonej masłem podłużnej formy i piec w umiarkowanej temperaturze (350 stopni) godzinę lub o kilka minut dłużej.

DLA NASZYCH DZIECI WZÓR NR. 4771



Simplicity
4771

Oto zgrabny i efektowny kostjumik dla młodej dziewczynki w wieku od 2 do 6-ciu lat, który każda mamusia potrafi uszyć. Dokładne wskazówki, kroju szycia, należytego rozmiaru, i i. poda wzór 4771. Celem otrzymania tego wzoru wraz z powyższymi wskazówkami należy wypełnić poniższy kupon:

Tygodnik Dla Kobiet
806 Lexington Avenue
New York, N. Y.

Sz. Pani — załączam 15c na koszt przesyłki i proszę mi wysłać wzór Nr. 4771.

Imię i nazwisko

Adres

Numer wzoru

Lista Opiekunów "Tygodnika Polskiego"

Następujący przyjaciele naszego pisma przyszli nam ostatnio z pomocą, za którą im najserdeczniej dziękujemy:

Mr. and Mrs. P. Kulpiński, Philadelphia, Pa. — \$13.00.

Stefan Łodzieski, Lakewood, Ohio — \$40.00.

Rev. B. Socha, Bloomfield, N. J. — \$10.00.

Rev. J. Gryczka, Kingston, Pa. — \$50.00.

Rev. J. Kuczyński, Philadelphia, Pa. — \$13.00.

Józef Junosza, New York City — \$20.00.

W. Rydzewski, Los Angeles, Cal. — \$10.00.

Naum Eitingon, New York City — \$100.00.

J. Habuda, Youngstown, Ohio — \$10.00.

Liga Kobiet w Chicago, Ill. — \$20.00.

Walenty Porański, Chicago, Ill. — \$25.00.

Siostry Bernardynki z Prowincji Scrantońskiej — \$20.00.

Szymon Landau, New York City — \$100.00.

Z powodu nawału materiału pełną listę tych, którzy dotychczas tak znacznie odpowiedzieli na nasze wezwania odkładamy do następnego numeru "Tygodnika Polskiego".

Pozatem na prenumeraty dla żołnierzy złożyła p. Hanna Walska — \$20.00.



Wykonawczynie "Halki" w przedstawieniu na Bliskim Wschodzie

OGŁASZAJCIE SIĘ

na łamach
"Tygodnika Polskiego"
który dociera do wszystkich
kół polskich w Ameryce!

KUPOJCIE ZNACZKI i BONDY WOJENNE

UNION PARTS MFG. CO., INC.

IGNACY, PAWEŁ I MIE-
CZYŚLAW NURKIEWICZ,
właściciele

125 Ashland Place
Brooklyn, N. Y.

Tel. TR 5-9811

WATER LILY CLEANSING CREAM

individualized for young or normal skins

HELENA RUBINSTEIN

Lekki, jedwabisty krem, który utrzymuje cerę w idealnej czystości i blasku! Po użyciu tego delikatnego kremu cera staje się bardziej gładka, delikatna i przeźroczysta, a delikatny zapach płatków Lilji Wodnej daje uroczne uczucie świeżości.

Cena dużego słoika \$1.10 do nabycia w lepszych składach aptecznych i departamentowych lub wprost od firmy —



HELENA RUBINSTEIN, Polish Dept.

715 — 5^{ta} AVENUE, NEW YORK, N. Y.

O P I N J E I Z D A R Z E N I A

NABOŻEŃSTWO ZA POLSKĘ

Nabożeństwo za Polskę odprawiane w zeszłą sobotę w katedrze świętego Patryka w New Yorku było piękną manifestacją jedności polskiej. Byli na nim Polacy wszystkich partji i zawodów, z dawnej Polonji i nowi uchodźcy, wszyscy zarówno czujący wagę dziejowej chwili i konieczność jedności. Kazanie arcybiskupa Spellmana podkreśliło to, co wszyscy czujemy — że sprawa nasza jest symbolem spraw jeszcze większych i że walcząc o nią, walczymy o te największe sprawy.

MOŁOTOW ZA HITLEREM PRZECIW ANGLJI

Mołotow, przemawiając 1 października 1939 na sesji Najwyższej Rady Sowieć, powiedział takie oto zdania, które dobrze jest przypomnieć dziś, gdy Moskwa podaje się za nieugiętego bojownika, walczącego z hitleryzmem.

“W ostatnich czasach rządzące sfery Anglji i Francji usiłują występować w charakterze bojowników o demokratyczne prawa narodów, przy czem rząd angielski oznajmił, że dla niego celem wojny z Niemcami jest jakoby—mi mniej mi więcej—tylko “zniszczenie hitleryzmu”! Wychodzi na to, że angielscy a razem z nimi francuscy zwolennicy wojny wypowiedzieli Niemcom coś w rodzaju “ideologicznej wojny”, przypominającej stare wojny religijne”. Czyż nie do tych czasów średniowiecza, do czasów religijnych wojen, przesądów i kulturalnego zdziczenia chcą nas cofnąć panujące klasy Anglji i Francji... Tego rodzaju wojna nie ma nic na usprawiedliwienie. Ideologję hitleryzmu jak i wszelki inny system ideologiczny można uznawać lub negować — to jest sprawa politycznych poglądów. Ale każdy człowiek zrozumie, że ideologję nie sposób jest zniszczyć siłą, nie można skończyć z nią przy pomocy wojny. Dlatego też nietylko bezsensownem ale karygodnem jest prowadzić taką wojnę, jak wojna celem zniszczenia hitleryzmu, pokrywana fałszywym sztandarem walki o demokrację. Motywy wojny nie dotyczą jakiegokolwiek ideologii ale odnoszą się do sfery najżywotniejszych interesów Anglji i Francji jako potężnych mocarstw kolonialnych.

W ten sposób imperjalistyczny charakter tej wojny staje się oczywisty dla każdego, kto chce widzieć faktyczny stan rzeczy, kto nie zamyka oczu na fakty”.

To mówił ten sam Mołotow którego dzisiaj pewne koła w Ameryce i

Anglji obwołują jednym z wodzów demokracji, to mówił jeden z przywódców Rosji Sowieckiej o tej Anglji, która dziś tak lekkomyślnie Rosji ufa.

Co na to pan Lange, pan Penzik, co Tuwim? A podobnych tekstów jest więcej.

SŁOWA PRAWDY

Bezpośrednią reakcją na nieoczekiwane słowa Churchilla w stosunku do Polski były m. in. artykuły w prasie angielskiej i amerykańskiej, poświęcone narodowi polskiemu, jego dziejom, wartościom kulturalnym i wielkości jego wkładu wojennego.

Nowojorski “Daily Mirror” przynosi m. i. ciekawy artykuł Benjamina de Casseres w kolumnie “The March of Events”, zaczynający się od słów:

“We owe a debt to Poland. We

not only owe her a debt, but so does the civilized Western world.”

Po skreśleniu historii 150-ciu lat polskich walk niepodległościowych, kończy de Casseres:

“...This war began because Poland was invaded by Germany. If she passes again into the hands of Russia, the war shall have been fought in vain — and it will be one of the supreme mockeries of the ages.”

A świat coraz boleśniej kpi z siebie. Boleśniej i smutniej.

KALENDARZYK ODCZYTÓW

Stowarzyszenie Prawników Polskich zawiadamia, że w piątek dn. 3 marca o godzinie 8 wieczór odbędzie się w siedzibie Stowarzyszenia zebranie dyskusyjne, na którym Minister Anatol Muhlstein wygłosi odczyt na temat: “Rola Francji w wojennej Europie”.



Dowódca brytyjskiej artylerji przeciwlotniczej objaśnia Prezydentowi Raczkiewiczowi działanie przyrządów pomiarowych. Przyrządy te w artylerji brytyjskiej obsługiwane są przez kobiety

IMPONUJĄCY JUBILEUSZ

W tajemnym piśmie polskiem czytamy wspomnienie, poświęcone trzyletniej pracy tajnej drukarni, która rozpoczęła wydawanie "Biuletynu Informacyjnego" organu Polskiej Armji Podziemnej w Kraju:

"Dziś tajna drukarnia Rocha, jeden z wielu tysięcy posterunków Polskiej Podziemnej, obchodzi trzecie swoje lata pracy.

Pamiętacie, jak dostaliśmy polecenie zorganizować drukarnię? My, ludzie Rocha, bez stosunków, bez znajomości, prawie bez żadnych możliwości... Zdawało się, że zadanie przekracza nasze możliwości i umiejętności — a jednak trzeba było je wykonać. Rozbiegliśmy się więc wszyscy szukać, zdobywać, uczyć się...

A ileż było radości, gdy wyszedł drukiem pierwszy numer!

W kilka tygodni po rozpoczęciu roboty przyszło ostrzeżenie. Jesteśmy zagrożeni. Przerwać natychmiast pracę. Wszyscy do domu. Nie można jednak było zostawić kosztownych maszyn, warsztatu pracy. Trzeba było myśleć o ich ocaleniu. Postanowiliśmy więc przenieść urządzenie w inne, bezpieczniejsze miejsce.

Jedni stanęli na straży na zewnątrz, by bronić w razie potrzeby innych, pracujących. Drudzy przygotowali stos drzewa, papierów i naftę, by podpalić wszystko, jeżeli nie będzie wyjścia. Inni pakowali sprzęt, jeszcze inni zajęli się wyszukaniem nowego lokalu i środków przewozu.

Pech chciał, że w czasie transportu zatrzymał nas niemiecki policjant. Ale naiwniak uwierzył, że wiziemy "szmela". A i na stare miejsce pludry nie przysły. Tyle przygotowani i wszystkim naprzódo.

Potem przyszły ciężkie czasy. Niemcy zaczęli deptać nam po piętach, robiło się ciasno i duszno. Ten i ów wpadał i odchodził od nas bezpowrotnie. Zdawało się, że wróg wszystko o nas wie, że któregoś dnia przyjdzie nieubłagane tragiczny koniec.

Tak. Wiedział to, co wie i dziś. Wiedział, że pracujemy, że z posterunków zejść nie możemy, że praca nasza nie może być przerwana. To było wszystko. Więcej nie dowiedział się, bo koledzy nasi umierali w najstraszliwszych torturach, ale wróg nie wymusił od nich ani słowa. Tak jak umiel żyć i pracować — potrafili i umrzeć.

Dzięki ich samozaparcu i poświęceniu drukarnia nasza pracuje dalej. Nieprzerwanie od trzech lat. Z pod maszyny wychodzi karta papieru pokryta znaczkami, niosąca wśród ludzi płomień wiary w jutro, w zwycięstwo, w wyzwolenie... Wysiłki nasze trzeba nam wzmóc i coraz lepiej,



Sztuka Marjana Hemara "Poor Man's Miracle" grana była z wielkim sukcesem w Abbey Theatre w Dublinie. Oto wykonawcy głównych ról, Cyril Cusack (Józef) i Liam Redmond (ksiądz)

coraz gruntowniej wypełniać nasze zadania. Pracą swą zbliżamy się stale ku wolnej, wielkiej Polsce. A na straży naszego warsztatu pracy i rzetelności naszej służby stoją duchy tych, którzy jeszcze niedawno z nami pracowali a Polsce oddali wszystko, co mieli — z życiem włącznie. Trzeba, byśmy ich byli godni!"

TRUDNOŚCI PANA EDENA

Pan Eden, odpowiadając na interpelacje w sprawie oświadczenia Churchilla między innymi na namiętny atak zacieklego Hore Belisha i starając się zatrzeć naprawdę hiobowe wrażenie, jakie to oświadczenie wywołało nawet w wytrzymałej na wszystko Izbie Gmin, oświadczył z rozbrajającą szczerością, że sytuacja jest tak zawiślana, że bardzo trudno jest w tych warunkach prowadzić politykę. Jest to oczywisty truizm, ale w tych warunkach tembardziej zalecałoby się trzymać drogi honoru, jeśli nawet rozum nie mówi jak najzręczniejszemu po tej drodze chodzić należy. A pozatem jest pewna frywolna piosenka, którą możnaby panu Edenowi odpowiedzieć w tej bynajmniej niefrywolnej sytuacji:

"Gdy wiesz, że nie potrafisz, to nie pchaj się na afisz!"

POLSCY INŻYNIEROWIE W TURCJI

Dzięki inicjatywie grupy polskich fachowców lotniczych powstał przy politechnice w Stambule wydział lotniczy, na którym wykłada już przeszło od roku trzech polskich inżynierów. Na nic się nie zdały usilne zabiegi Niemców — władze uniwersyteckie i koła lotnicze Turcji wołały tę ważną placówkę powierzyć niemal całkowicie rzeczoznawcom polskim. Im przypadało również w udziale zorganizowanie tureckiego przemysłu lotniczego. Obecnie czynna już jest wytwórnia płatowców, silników i części pomocniczych, produkująca rocznie około 300 samolotów dla tureckich sił zbrojnych.

Na całym terenie Turcji rozsiani są polscy specjaliści przemysłu górniczego, hutniczego i chemicznego — nieraz o wiele mil oddaleni od ośrodków cywilizacyjnych. Inni pracują przy rozbudowie sieci drogowej, fabrykach amunicji, przy budowie nowoczesnych portów.

Polacy w Turcji na niewielkim odcinku uprzemysłowienia kraju przyjęli na siebie w tej chwili dziejową rolę Polski, pionierki cywilizacji Zachodu. Spełniają ją dobrze w przeświadczeniu, że przyczyniają się do chwały imienia polskiego.

KSIĄDZ ICIEK O ZAMKNIĘCIU "WIADOMOŚCI POLSKICH"

Znakomity publicysta polsko-amerykański, ks. Iciek, który w swoich ciętych fejtetonach w "Pittsburszaninie" omawia wszystkie zagadnienia tak żywe i nas obchodzące, pisze m. i. o zamknięciu "Wiadomości Polskich" w Londynie i analizuje powody tej krzywdzącej Polaków decyzji władz angielskich:

"...Komuniści są bardzo wrażliwi na ataki ludzi krytycznych. Nie wolno nikomu nic na bolszewikow powiedzieć, bo to byłaby obraza i krzywda dla "proletariatu i klas robotniczych". W Kosji zato tylko to wolno drukować, co Sowiety cenz., żeby było drukowane, obojętne, czy to prawda czy fałsz. A przeważnie jest to fałsz. Szkoda, że tak potężne Sowiety obawiają się tej i przez nich podzielonej, krwawiącej Polski, a tembardziej pisma polskiego. Ale na złodzieju zawsze czapka gore.

Jest tu jeszcze inna strona co do tego zamachu na wolność prasy w Anglii. Jeżeli rząd zlikwidował pismo polskie dlatego, że tego żądał przedstawiciel Sowietów, wtenczas znaczy to, że Anglja już teraz stała się służką Stalina. To doprawdy dawałoby nam bardzo wiele do myślenia..

...Raczej powiedziałbym, że Moskale wywarli nacisk na rząd angielski, by pismo polskie, które im piaskiem w oczy sypie, zamknąć. Może do tego dojść, że i tu w Ameryce "dla świętej zgody, by nie drażnić Mochów", też nie jednej gazecie powiedzą: — małczat! Słyszałem z wiarogodnego źródła, że ponoć Ks. Prałatowi Fulton Sheenowi, Washington powiedział, ażeby przycichł w jego atakach na rząd sowiecki. Ciekaw jestem, czy rząd sowiecki wobec innych rządów podobne zająłby stanowisko?

Gdybyśmy byli jak należy zorganizowani, to po ukazaniu się depezy o zamknięciu pisma polskiego w Londynie, posypałyby się tysiące depezy do ambasady angielskiej w Washingtonie i roztrąbionoby sprawę w prasie amerykańskiej. Niestety dotąd śpimy snem błogim na tej dziś najważniejszej placówce. Oby to przebudzenie nastąpiło jak najwcześniej!"

CZY WIECIE, ŻE...

...Polski okręt podwodny "Dzik" zatopił w drugiej połowie 1943 roku 18 statków nieprzyjacielskich o łącznej pojemności 48,500 ton, czyli więcej niż wynosi łączny tonaż stracony przez Polską Marynarkę Handlową od początku wojny.

...ostatnio w Warszawie, na Pradze bojownicy Polski Podziemnej urządzili zasadzkę na samochody z żołnierzami niemieckimi, obrzucając



Na ścianie kamienicy we Francji taką oto narysowano kredą karykaturę Hitlera z napisem: "Uprasza się o plunięcie"

je granatami ręcznymi. Wielu Niemców zginęło i odniosło rany. Ten sam los spotkał Niemców innych przy zbiegu ulic Nowego Świata i Wareckiej oraz przy moście Poniatowskiego.

...Komendant Sił Zbrojnych w Kraju odznaczył siedmu oficerów Armji Podziemnej Krzyżem Walecznych, awansował na oficerów pięciu podchorążych oraz mianował podchorążymi 22 żołnierzy za zasługi w pracy konspiracyjnej i na polu walki czynnej.

...pod koniec roku ubiegłego wykonano wyrok śmierci Podziemnego Sądu Rzeczypospolitej na SS-manie Enneście Weffels, który odznaczył się szczególnie bestjalstwem w więzieniu kobiecym na Pawiaku.

...Niemcy zwiększyli sześciokrotnie kontyngent policji w Warszawie, w porównaniu z liczbą policji w Warszawie przed wojną, choć ludność stolicy zmniejszyła się o jedną czwartą.

WALKA Z FASZYZMEM?

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o Badoglio — prowadził on wojnę abisyńską. Można nie wiem jak bronić króla Wiktora Emanuela, faktem jest przecież, że firmował on przez dwadzieścia lat reżym faszystowski. I oto jednocześnie z opuszczeniem przez Anglję Polski, która pierwsza wystąpiła zbrojnie przeciw Hitlerowi, dowiadujemy się, że Anglicy dali całe swe poparcie królowi i Badoglio.

Jest to zaiste niezwykle pojmowanie walki z faszysmem, która jest hasłem walczących demokracji.

ODCZYT CENZORA ŚWIETLIKA

Cenzor Związku Narodowego Polskiego p. Franciszek X. Świetlik, zaproszony przez Stowarzyszenie Prawników Polskich, mówił w zeszlą stronę (po angielsku) o konstytucji amerykańskiej. Była to dla dużej części uchodźców rewelacja niezwykłych

talentów p. Świetlika jako mówcy i wykładowcy. Odczyt wypowiedziany z niezwykłą swadą, przejrzysty, świetnie skomponowany, żywy, odwołujący się do przykładów z życia — dał nam niezbyt zorientowanym w materji tak ważnej, doskonałe wiadomości i jasny pogląd. Był to prawdziwy wzór, jak można mówić na bardzo specjalne tematy nie popadając w suchość i pedanterję.

SUKCES MENKESA

Wystawa naszego rodaka Menkesa, o której dwa tygodnie temu pisaliśmy obszernie, stała się prawdziwą sensacją w kołach artystycznych amerykańskich. Odbływały się na nią prawdziwe pielgrzymki malarzy amerykańskich, zachwyconych odkryciami kolorystycznymi, jakie Menkes zrobił, malując pejzaż tutejszy. Zgodna opinja tych malarzy twierdzi, że Menkes dodał swą twórczością otuchy tym, którzy w tak niełatwej atmosferze pracują w Ameryce dla czystej plastyki.

TRAGICZNY ŻART

W jednym z pism polskich w Londynie ukazał się następujący dowcip:

Na rysunku widnieje nurek na dnie oceanu, z latarką w ręku. Koło niego płyną dwie ryby i jedna się pyta:

— Jakiej narodowości jest ten nurek?

— Polak — odpowiada druga.

— Polak? A czego on szuka?

— Karty Atlantyckiej...

To niby ma być dowcip, ale wydaje się, że jest w nim więcej tragicznej prawdy, niż humoru.

KALEKA

Malarz Lasocki był olbrzymem. Kiedyś opowiadał, że zwolniony został od wojska jako kaleka.

— ???

— Nie mam małego palca.

— ???

A na to Lasocki pokazuje swój wielki palec: — To jest mały palec?

POLISH WEEKLY

Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publisher:
„Tygodnik Polski”

Editor:
JAN LECHOŃ

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—\$3.50 Yearly—\$7.00